

Ewa Turska-Bandrowska usunięta z ZASP'u

ZASP wkroczył na drogę nowych absurdów

ZASP nie poprzestaje na kompromitację posunięciu wczorajszym, ostry głos opinii, jaki natychmiast odezwał się po usunięciu Stefana Jaracza z ZASP'u nie otrzeźwił ZASP'owych zarozumiałców, którzy w dalszym ciągu prowadzą robotę niszczenia podstaw własnego Związku, skreślając z listy członków najwybitniejszych polskich artystów.

List do

E. Turskiej-Bandrowskiej

Wczoraj wieczorem, Ewa Turska-Bandrowska, najwybitniejsza polska śpiewaczka, artystka światowej sławy, przed swym występem w operze, już w garderobie teatralnej, otrzymała następującą listę:

Do
Pani Ewy Turskiej-Bandrowskiej w miejscu

Zawiadamy, że Zarząd Główny ZASP na posiedzeniu w dn. 8 listopada b. r. skreślił Panią z listy członków ZASP w drodze dyscyplinarnej za udział w imprezie, nieposiadającej konwencji z Zarząd Głównym ZASP oraz za udział w przedstawieniach z osobami, nienależącymi do ZASP'u. (Dyrekcja p. Janiny Korolewicz-Waydowej. Teatr Wielki. Opera. Warszawa).

Przewodniczący Zarządu

(—) Śliwicki

Sekretarz Z. Karpiński

List do E. Turskiej-Bandrowskiej świadczy, że ZASP najzupełniej nie orientuje się w absurdalnej sytuacji, jaką wytwarzają nieobliczalne decyzje Zarządu Głównego.

Absurd i konsekwencja

Skoro Turską-Bandrowską usunięto za udział w imprezie pracującej bez konwencji z ZASP'em, należałoby konsekwentnie skreślić z ZASP'u wszystkich aktorów teatru Jaracza, a przedwyszklikiem Zimińską. Podobnie należałoby postąpić ze wszystkimi artystami, tworzącymi zespół opery warszawskiej.

ZASP nie może zdecydować się na to radykalne, jaskrawe posunięcie, choć wynika ono logicznie z obecnej akcji ZASP'u. Nie może go wykonać, ponieważ trudno być związkiem aktorów bez aktorów i trudno podawać się za obrońcę interesów stanu aktorskiego wówczas, gdy wyraźnie się aktorem szkodzi.

Podłoże zatargu

Podłoże całego zatargu jest równie paradoksalne, jak sam zatarg. „Teatr Aktora” oraz Opera odmówiły przyjęcia konwencji ZASP'u, gwarantującej każdemu aktorowi za wieczór minimum 10 złotych.

„Teatr Aktora” prowadzony

przez Jaracza, Zimińską i Bende nie jest teatrem prywatnego finansisty, ostry głos opinii, jaki natychmiast odezwał się po usunięciu Stefana Jaracza z ZASP'u nie otrzeźwił ZASP'owych zarozumiałców, którzy w dalszym ciągu prowadzą robotę niszczenia podstaw własnego Związku, skreślając z listy członków najwybitniejszych polskich artystów.

Opera, rozpoczynając sezon w bardzo trudnych warunkach, również nie mogła w całej rozciągłości przyjąć zobowiązań wobec ZASP'u. Tu jeszcze dołączyły się animozje osobiste artystów, mających w zarządzie ZASP'u poważne wpływy, a którym nowa dyrekcja opery nie zaproponowała współpracy.

Kiedy p. Korolewicz-Waydowa w zdecydowany sposób odrzuciła pretensje ZASP'u, oświadczając, że ma do wyboru albo prowadzić Operę bez konwencji, albo wcale jej nie prowadzić, ZASP postawił ultimatum: albo konwencja, albo skreślenie artystów z ZASP'u. Skończyło się wówczas na Karolu Bendzie.

„Grzech współpracy”

Benda reżyserował następnie w teatrze Jaracza — tem samem aktorzy z teatru Jaracza popelnili „grzech współpracy” z aktorem nie-zaspowym. ZASP powinien ich usunąć, zarząd jednak zwlekał, zapewne w obawie kompromitacji. Teraz postanowiono działać połowicznie i uderzyć tylko w aktorów najwybitniejszych. W tem tkwi geniza odebrania członkostwa Jaraczowi.

Komedja „wymiaru sprawiedliwości”

„Grozne” decyzje ZASP'owe mają często humorystyczne kulisy, ośmieszające Zarząd ZASP'u, udający dyktatorów naszego świata aktorskiego. Oto ZASP ostrzegł E. Turską-Bandrowską, że jeżeli odważy się wystąpić w Operze, będzie skreślona z listy członków. Jak obecnie wynika z daty posiedzenia, na którym „w drodze dyscyplinarnej” odebrano Turskiej-Bandrowskiej członkostwo, decyzja zapadła, zanim jeszcze Turska-Bandrowska popelniała osławione „wykroczenie” przeciw ZASP'owi. Skreślenie niejako uchwalono na zapas, a potem, mając decyzję Zarządu w kieszeni, zaczęto grozić. Gdyby Turska-Bandrowska — przypuścimy — ustała wobec śmiesznych wymagań ZASP'u, ZASP musiałby chyba anulować swą uchwałę.

Ponieważ oczywiście znakomita artystka zignorowała zasp'owe pogroźki, urządzono komedję natychmiastowego „wymiaru sprawiedliwości”. Bandrowska wchodzi do garderoby — początek

„przestępstwa”. ZASP reaguje — list, odebranie członkostwa.

Zimińska oczekuje usunięcia

W ten sposób zamiast siły, decyzje Zarządu ZASP'u demonstrują jego całkowitą bezsilność. ZASP jest już — jak to teraz widzimy — pozycją martwą. Gdyby aktorzy liczyli się z ZASP'em, groźba skreślenia wywarłaby swój skutek. Tymczasem jest wprost przeciwnie — w „Teatrze Aktora” opowiadają zartobliwie, że Zimińska jest szalenie zdenerwowana, gdyż dotychczas nie otrzymała listu z ZASP'u zawiadniającego o usunięciu. Aktorzy z teatru Jaracza oświadczają, że nie zważają na ZASP, gotowi są nadal pracować.

Józef Redo, w którego obronie miał m. in. ZASP wystąpić, zaznacza, że w „Teatrze Aktora” czuje się doskonale i ani myślał skarżyć się ZASP'owi.

Oświadczenie Śliwickiego

Prezes ZASP'u, Śliwicki, w wywiadzie prasowym określił dziś Jaracza, jako „niesforenego człowieka” i dalej: „jego działalność sceniczna może być najlepsza, ale

w związku naszym nie będzie. Nie dlatego, żeby Związkowi szkodził. Naszemu Związkowi nie zaszkodzi nie może”.

Brak instynktu samozachowawczego

Istotnie. ZASP'owi nie już zaszkodzić nie może. Po aferze z „Teatrem Artystów” trudno znaleźć coś, co by jeszcze dobitniej wykazywało bezsens tej instytucji w jej obecnej formie działalności. ZASP dziś objawia poprostu brak instynktu samozachowawczego. W urojonej walce uderza sam w siebie. Nie do podważenia będzie sytuacja ZASP'u, gdy pozostaną mu... trzej członkowie i zwycięski statut.

Warto jeszcze dodać, że Stefan Jaracz jest obok Osterwy założycielem ZASP'u i że jeszcze dwa lata temu obwołano go jedynogłosem prezesem honorowym Walnego Zjazdu artystów. Jeśli zaś idzie o Turską-Bandrowską, nazwisko wielkiej artystki mówi samo za siebie. Tu pomysły ZASP'u przypominają starą bajkę o nadymającej się żabie. (h.)

Na ekranach

„Co mój mąż robi w nocy?”

(Pan)

Powodzenie kasowe tego filmu już jest ustalone. Nie zaszkodzi zatem t. zw. „interesowi krajowej produkcji”, jeśli szerzej powiem, co myśle o drugim skolei w tym sezonie polskim obrazie.

Widziałem go dwa razy, obawiając się, że fatalne wrażenie, wyniesione z pierwszego obejrzenia, było może wynikiem subiektywnej sugestji, przejęciowego nastroju, czy czegoś w tym rodzaju. Niestety, druga wizja w skromnej tylko mierze poprawia wrażenie pierwsze i to głównie w zakresie technicznym.

Pod tym względem, biorąc pod uwagę wciąż jeszcze niewystarczające warunki techniczne i finansowe pracy naszych filmowców, trudno stwierdzić, że jest to wymagania. Ldźwięk, wieniec, zdjęcia (Wywerka) stoją na poziomie zupełnie dostatecznym dla lekkiej komedii filmowej.

Również wykonanie artystyczne za dowala: reżyser Waszyński nabył już tyle doświadczenia, że umie klepać nawet materię scenariusza ożywić i uzupełnić dobrmi cawytami reżyserkami (szczególny pomysł z wprowadzeniem wstawek rysunkowych, dobre rozwiązanie sceny ze znikającymi fotografiami przyjaźli zbankrutowanego inżyniera). Oczywiście, nie ma tu mowy o jednolitej, przemyślanej koncepcji reżyserkiej, ale to co jest, jest niezgorsze.

Z aktorów Znicz w największej roli tytułowej „męża”, po kłapie finansowej służącego w nocnym lokau, bohatera walczy z niekonsekwencją scenariusza, wykazując wielką kulturę aktorską i umiar. Nie można tego powiedzieć o Krukowskim, który w głupiej i nieodpowiedniej roli raz jeszcze powtarza oklepane swo-

je gierki z tą różnicą, że nie „żyje” — co nie wiem czy jest zasługą, czy wadą. Ruskowski, dobry, choć znów zupełnie niewykształcony. Szczegółowe epizody dali: Gerasimski — imię, Biegański — profesor medycyny, Tom — detektyw, oraz Jarossy — król mody. Z pań ani Gorczyńska, ani Mankiewiczówna nie wyróżniły się niczem specjalnym. Pod względem wykonania muzycznego na poziomie zasługuje piosenka „Odrobina szczęścia w miłości” i „Cztery noży”. Tę ostatnią walczyli w tańcu kryminalny. Dekoracje tandetne.

Na całkowite dezaprobatę zasługują treści filmu. Autor scenariusza, Anatol Stern, posłuł sobie zapewne w zgodnym z Kierownikiem produkcji, wysiłku, aby zdobyć kasę za cenę schłabaną najniższym instynktem publiczności. Sceny takie, jak „rozbiórka” nieporozumienia Łopacza Gorczyńską i wogóle cały ich w ciągu akcji stosunek nie są dowcipne: są poprostu niesmaczne; niekonsekwencje, nieprawdopodobieństwa, toczą się jedne po drugich. Czy aby p. Stern dobrze pamiętał graną przed laty komedję bodaj Ber'a p. t. „Co on robi w nocy?” o podobnej intrydze? A propos pamięci: pomysł szukania zagubionej biżuterii po frakach dancingowych gości przypominają podobne poszukiwania w „Milionie” Clair'a, pomysł z pijanym pieskiem równie dobry, jak... znany.

Konkluzja: takie filmy nie przyczyniają się do wzrostu autorytetu kulturalnego polskiej produkcji. Nad program udany dodatek morski o łodzi podwodnej „Zbik”, zawierający kilka b. ciekawych ujęć fotograficznych.

A. Ruskowski.

Łabuński o Ameryce i tamtejszych stosunkach muzycznych

Dziś, dnia 14 listopada, wystąpi w sali Konserwatorium z recitalem fortepianowym Wiktor Łabuński, znakomity pianista polski. Łabuński zadebiutował w Warszawie przed laty 15-tu w małej salce Hermanna i Grossmanna i od razu zdobył publiczność warszawską. Bardzo wtedy jeszcze młody, potrafił na swych recitalach stworzyć swoisty nastrój, dać słuchaczom coś odrębnego, nowego. Od tego czasu talent artysty rósł i rozwijał się. Słyszeliśmy go rok rocznie, jako solistę z orkiestrą filharmonijną oraz w recitalach fortepianowych. Również, z dużym powodzeniem występował w Anglii, Szkocji, Francji, Austrii, Rumunii.

Przed sześciu laty wywodził na stałe do Ameryki. Dochodziły już nas tylko wieści o sukcesach tego świetnego artysty za Oceanem. Obecnie przybył spowrotem do Polski. Usłyszymy go w śróde.

Zapytujemy p. Łabuńskiego o jego wrażenia z Ameryki.

— Życie muzyczne Ameryki inaczej wyglądało w roku 1928, gdy do Ameryki przyjechałem, a inaczej dziś. Kryzys, niestety, i tam się odbił na frekwencji publiczności. Dość powiedzieć, że New York Philharmonie każdej niedzieli nadała koncert symfoniczny na wszystkie rozgłośnie koncertu Columbia, i w przerwie prosi radjostuchaczy o jakikolwiek datkę na pokrycie kolosalnego deficytu. Orkiestra filadelfijska, pod dyrekcją Stokowskiego, co wieczór daje kwadrans muzyki poważnej, jako reklamę pewnego gatunku papierosów. Inna firma papierosowa dla reklamy transmittuje podobnie i onerowo z Metropolitan Opera. Dokonali artysty dają programy pod znakiem oleju reynowce, gum au-

tomobilowych, proszku do zębów. Programy te są doskonałe, tylko przykro jest usłyszeć między jedną a drugą częścią symfonii Beethovna — że guma do żucia taka a taka jest najlepsza i najzdrowsza.

— Jeśli idzie o orkiestry amerykańskie, to są one świetne. Nie mówię już o tak sławnych zespołach, jak New York Philharmonie pod Toscaninim i Bruno Walterem, Filadelfijskiej orkiestrze pod Stokowskim, Bostonijskiej pod Kusewiczem, jest jeszcze orkiestr doskonałych, jak Cleveland (Rodziński), Cincinnati (Goossens), Chicago (Stock), Minneapolis (Ormandy) i inne.

— Powód, dlaczego orkiestry amerykańskie stoją tak wysoko, jest bardzo prosty: za czasów „prosperity” sprowadzono ze wszystkich krajów Europy najlepszych muzyków orkiestrowych, za bardzo wysokie gaże, uposażono orkiestry obce, podtrzymywano je stale. Drugi powód: organizacja pracy. Dostateczna ilość prób, ostra dyscyplina, stały kapelmistrz.

— Ubolewam nad stanem rzeczy w Warszawie w dziedzinie muzyki orkiestrowej. Nie chcę wchodzić w rozważania, kto zawinił i kto jest odpowiedzialny za to, że nasi filharmonicy gnieżdżą się w małej salce, wysoko nieakustyczne dla większych zespołów. Uważam tylko, że należy w tym wypadku pójść sobie na spotkanie. Niema takiej rzeczy, która by się nie dała załatwić polubownie. A im prędzej to nastąpi, tem lepiej dla naszej muzyki symfonicznej. Cieszę się, że jestem spowrotem w naszej miłej, kochanej Warszawie. Z wielkimi wzruszeniem oczekuję swego występu w śróde.

Z nauki i sztuki

Literatura

— Ankieta w sprawie ortografii polskiej. Polska Akademia Umiejętności rozpisła wśród instytucji naukowych ankietę w sprawie ustalenia ortografii polskiej. M. in. ankietę przesłano także do Polskiej Akademii Literatury.

— Nowy redaktor „Pionu”. Redakcję „Pionu” z dn. 1 b. m. objął Włodzimierz Antoniewicz, prof. Uniwersytetu Warszawskiego.

— Klub literacki holendersko-polski. W Amsterdamie powstał klub literacki holendersko-polski, mający na celu zbliżenie kulturalne holendersko-polskie. W związku z tem, znany publicysta i dziennikarz holenderski, A. den Doelaard, laureat nagrody literackiej holenderskiego Towarzystwa Literatury, rozpoczął cykl wykładów o Polsce w Uniwersytecie Ludowym w Amsterdamie.

— Dostojewski o swej epilepsji. W Leningradzie ukazały się notatki Dostojewskiego z lat 1869 — 72. Jest w nich wiele materiałów do „Biesów”.

i do „Braci Karamazowych”, a są też szczegółowo opisane ataki epilepsji, którym Dostojewski ulegał.

Teatr

— Sztuka Kiedrzyńskiego w Helsingforsie. W teatrze Narodowym w Helsingforsie wystawiono komedję Stefana Kiedrzyńskiego „Kobieta, wino i dancing”. Publiczność przyjęła polską premię b. życzliwie.

— Nowa sztuka Langer. Znany czeski dramaturg, Franciszek Langer, napisał nową komedję p. t. „Małżeństwo z ograniczoną odpowiedzialnością”. Wystawiono ją w Pradze w teatrze miejskim.

Muzyka

— Filharmonia i „Polskie Radio”. Powrotem orkiestry symfonicznej Filharmonii do sali w gmachu Filharmonii stoi jeszcze na przeszkodzie nieukończony pertraktacy z „Polskim Radiem”. Kwestią sporną jest wysokość opłaty za transmisję koncertów.

Z muzyki

Z tygodnia

Już się przez kilka dni wydawało, że nareszcie będzie koniec tej nadzwyczaj szkodliwej dla naszego życia muzycznego, a jednocześnie niezwykle przykrej sytuacji, jaka się wytworzyła na terenie filharmonicznym, że orkiestra powróci do normalnych warunków pracy i zacznie grywać na swojej estradzie w sali, przeznaczonej dla produkcji symfonicznej. Już po wrażeniu, jakie dostarczała organizacja i frekwencja ostatniego koncertu piątkowego w Konserwatorium, chciało się złośliwie napisać, że „koniec wieńczy dzieło”, gdy tym czasem okazuje się, że końca jeszcze zupełnie nie widać, tak, że tylko pozostało samo „dzieło” piątkowe, świadectwo niebywałego wprost nieporządku i dowód braku jakiegokolwiek koncepcji kierowniczej.

Bo przypatrzmy się: program zapowiadał „Don Kiszota” Straussa, nie poraz pierwszy w tym sezonie i to w tej sytuacji, gdy cały ubiegły rok stał pod znakiem tego kompozytora i fakt ten uprawnia nas chyba do wniosku, że zarząd zespołu filharmonicznego idzie po linii najmniejszego oporu, jeśli wogóle idzie po jakiejś linii. Po drugie — słuchanie Straussa, granego przez orkiestrę symfoniczną w małej

salce, przeznaczonej dla muzyki kameralnej, to już doprawdy stanowczo przechodzi zdołność słuchających. Dobitnym tego przykładem był wykonywany niedawno „Don Juan”, którego finał świadczył poprostu uszy...

Wreszcie — gdy się już zapowiedzia odegrania „Don Kiszota” odstraszyło tych wszystkich, którzyby nawet mieli ochotę przyjść na koncert, wówczas, a zdarza się to prawie każdego piątkowego wieczoru, zmienia się program podany uprzednio do publicznej wiadomości. Tak nie można! Trzeba sobie przecież zdać z tego sprawę, że nie tylko nazwiska wykonawców posiadają siłą atrakcyjną, ale również i kompozytorów.

W zastępstwie chorej Ireny Dubickiej wystąpiła w piątek Jadwiga Umińska, grając szereg utworów skrzypcowych, z których na pierwsze miejsce wysunął się cykl Szymanowskiego, zawierający „Mity” i nadprogramowo „Pieśń Roksanę”.

Niekróć słuchałem „Mitów”, tylekroć słuchanie to łączyło się z obawą, że wykonawcy ujmą je fałszywie, płytko, idąc wyłącznie po linii wirtuozystycznej, która tak niezwykle kusząco wyglądała w „Aretuzie”, najchętniej grywa-

nej i prawie zawsze wykonywanej zdecydowanie źle.

Gra Umińskiej nie budzi tych obaw. Wysoka kultura artystki nie pozwala jej na zбочenie z tej drogi, po której szedł kompozytor. Trzy pocmaty tak różne, a tak jednocześnie jednolite charakterem i indywidualnością twórcy oddane, były bez zarzutu z ogromną prostotą, zadziwiająco, bo jednocześnie pełną kunsztu, z całym spokojem i umiarem, ale także blaskiem prawdziwego talentu, widocznym w każdym dotknięciu smyczka, w każdym jego pociągnięciu, sięgającym po ton, tak szczególnie głęboki w „Narce” czy „Pieśni Roksanę”, w każdym pasażu, którymi z prawdziwie kobiecą subtelnością syłała w „Aretuzie”, w każdym wreszcie pokonywaniu trudności technicznych, nie będących niczem innym, jak tylko środkiem tak silnego wyrazu, jakim jest zmysłowy nastrój „Dryjad i Pan”.

„Mity” posiadają bardzo poważną pozycję we współczesnej twórczości muzycznej. Szymanowski bowiem należy do tych nielicznych dzisiaj kompozytorów, którzy zrozumieli brzmienie skrzypiec i poznali wszelkie możliwości, tkwiące w naturze tego instrumentu — temu też zawdzięczamy cały szereg zupełnie dotychczas niespotykanych efektów, które wydobyl nie dla pułstego wirtuozystycznego pokazu, ale w celu podkreślenia ekspresji.

Umińska zda się dobrze rozumieć intencje kompozytora. Nie tylko rozumieć, ale i wyczuwać, to też gra jej jest jednolita zarówno w traktowaniu technicznym, jak i w koncepcji odtworzenia i to stanowi ogromną zaletę artystki.

Przy fortepianie bardzo dobry, jak zawsze zresztą, Jerzy Lefeld. Można by jedynie zarzucić w „Aretuzie” zbyt przytłumienie pedałem pasażów, które przez to ztracały swój wyraz.

Tak się dziwnie złożyło, że właśnie na koncercie symfonicznym gra solistka i to nawet nie na tle orkiestry, ale przy fortepianie, stała się punktem centralnym wieczoru... Podobno wkrótce ma się odbyć jej recital. Oczekujemy go z niecierpliwością.

Orkiestrę prowadził Sidney Beer. Mimo, iż program stwarzał ogromną skalę możliwości, dając prawdziwe pole do popisu, dzięki zestawieniu tak różnych indywidualności twórczych (zamiast „Don Kiszota” Straussa odegrano ósmą symfonię Beethovna, „La mer” Debussy'ego i „walc” Ravela) dyrygent nie wykazał żadnych większych wartości poza popularnością nieprzekraczającą przeciętnego poziomu. Może nawet w traktowaniu zadania była pewna doza niedbałości, którą, jeśli rzeczywiście istniała, należałoby chyba położyć na karb tych doprawdy wyjątkowych warunków, w których

artysta zmuszony był występować. To pewne, że pusta sala nie wpływa korzystnie na samopoczucie grającego, czy prowadzącego orkiestrę, a do tego jeszcze mała sala, w której natłoczone dźwięki wypaczają nieraz poprostu programowe założenie utworów, jak to np. było w piątek z Debussym. Zamiast wywołania wrażenia, jakie sprawia plusk fal, czuliśmy wyraźnie, że nadciąga sztorm... Mój Boże, że też rzeczywiście nie nadszedł i nie zburzył powodów całego zatargu!

Marja Nowik, młoda pianistka z Łotwy, wyróżniona podczas II-go konkursu chopinowskiego w Warszawie, wystąpiła w sobotę z własnym recitalem fortepianowym. Przyszliśmy szczerze, że występ jej nie wzbudził w nas entuzjazmu. Artystka rozporządza dużym zasobem techniki, samo jednak jej posiadanie nie wystarcza; pragnęlibyśmy wszyscy zobaczyć bardziej wnikliwy sposób ujęcia postawionej sobie zadania, jakąś wyraźniejszą koncepcję odtworzenia. Tym razem wypadła ona niezwykle blado. Bach, Beethoven i Chopin dziwnie byli do siebie podobni. Wszyscy bardzo rytmiczni, jednakowo odgrywani i traktowani takim samem, silnem, jak się to powszechnie mówi „męskim” uderzeniem. Siła ta, dominiująca cecha młodej pianistki, zaubożała bardzo skalę frazowania, sprowadzając ją do niezwykle — małej rozpiętości

Szczególnie wyraźnie tracił na tem Chopin (polonez as - dur i dwa mazurki). Można tu było nawet zaprzeczyć zdaniu Śliwińskiego, który podobno zwykł był mawiać do swych uczniów, gdy gra ich nie dawała pożądanego rezultatu: „Grajcie, grajcie, Chopin się sam wyśpiewa...” Okazuje się jednak, że nie zawsze.

Do zalet artystki zaliczyć należy duże poczucie rytmu, opanowanie, spokój oraz zupełny brak manjerycznej, chorobliwej nerwowości.

Rocznice odzyskania niepodległości „uczczono”, jak zwykle tylko porankiem, w myśl widocznie rozpowszechniającej się dzisiaj i już niejako obowiązującej zasady, ażeby wszystko opędać frazesem. Jakże żywo stają w oczach różne „Już świata”, niezliczonych wierszyków okolicznościowych, wygłaszanych w tym dniu na rozmaitego rodzaju uroczystościach!...

Całą niestosowność zbywania byle czem takich rocznic podkreślano już niejednokrotnie. Jeśli rzeczywiście ma się szczerą intencję uczczenia wielkiego wydarzenia, można było przecież zorganizować specjalny koncert wieczorowy, poświęcony polskiej muzyce symfonicznej, a ilustrujący np. ostatni jej dorobek. A tak...

Proszę mi wybaczyć — na poranku nie byłam. J. B.